

M I C H A E L N E A L E

Rzeka

Przekład
Zbigniew Zawadzki

Wydawnictwo WAM

Tytuł oryginału
THE RIVER

© 2012 by Michael Neale
All Rights Reserved. This Licensed Work published under license

© Wydawnictwo WAM, 2013

Redakcja
Zofia Palowska

Korekta
Dariusz Godoś

Projekt okładki
ChapterOne

Foto © Stanislav Komogorov - depositphotos.com

Logo serii
Sebastian Stachowski

ISBN 978-83-7767-887-9

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261
e.wydawnictwowam.pl

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

Słowo od autora

*Kiedy odwiedzają cię opowieści, zaopiekuj się nimi. I naucz się roz-
dawać je wszędzie tam, gdzie mogą się okazać przydatne. Czasami,
by przeżyć, opowieść może być ważniejsza niż jedzenie.*

Barry Lopez, *Crow and Weasel**

Zawsze uwielbiałem opowiadać historie, zwłaszcza przy-
jaciołom i rodzinie. Kocham dzielić się opowieścią o jakimś
mało prawdopodobnym wydarzeniu albo o kompromitują-
cej mnie samego gafie, albo o figlarnej rozmowie, którą pro-
wadziłem z którymś z moich dzieci. Nie ma nic lepszego niż
dobra historia.

Mój dziadek cudownie opowiadał. Często słuchałem opo-
wiadań z jego dzieciństwa, siedząc u niego koło pieca opa-
lanego drewnem z butelką piwa korzennego Chek w ręku.
Dziadek opisywał trudne życie podczas wielkiego kryzysu
(a więc w czasach, kiedy dorastał), wspominał, jak konstru-
ował sterowce firmy Goodyear** i jak dostosowany precyzyj-
nie do jego potrzeb kamper psuł mu się zawsze na jakiejś

* Tytuł po polsku brzmi *Wrona i łasica*. Barry Lopez to urodzony
w 1945 r. amerykański pisarz, fotografik i eseista znany z zaangażowania
w kwestie humanitarne i ekologiczne – wszystkie przypisy w tej książce
pochodzą od tłumacza.

** Od 1925 r. firma oponiarska Goodyear wykorzystuje w celach re-
klamowych niewielkie sterowce; te statki powietrzne są jednym z naj-
lepiej rozpoznawalnych znaków reklamowych w USA.

górskiej przełęczy – nieodmiennie w trakcie którejś z naj-
sroższych zim.

Nigdy się nie zastanawiałem, czy te opowieści oparte są
na faktach, czy też są zmyślane. Po prostu lubiłem się zatrac-
cać w magii słów dziadka. Czułem, jakbym naprawdę do-
świadczał jego przygód i poznawał opisywanych ludzi, choć
miałem zaledwie osiem lat.

Inspiracją dla historii, którą zaraz wam opowiem, była
mozaika faktów, rozmów, zdarzeń z mojego własnego życia
i życia mojej rodziny. Mam nadzieję, że odnajdziecie w niej
także coś z waszych własnych opowieści. Nie wiem, na czym
to polega, ale zwykle tak właśnie bywa z historiami.

Michael Neale
2012 rok

Prolog

Od czasu do czasu zdarza się nam spotkać kogoś, kto – mówiąc najkrócej – całkiem zmienia nasze życie. Takim spotkaniem może stać się rozmowa lub kontakt z drugim człowiekiem – tak głęboki, że wydaje się nie z tego świata. Nie potrafimy potem wyrzucić zasłyszanej opowieści ani z głowy, ani z serca.

Trudno wytłumaczyć, dlaczego niektóre historie są w stanie rezonować tak silnie na różnych poziomach naszej duszy; często chodzi zapewne o to, że przemawiają do nas szczególną mocą zawartą w nich namiętności, bólu czy radości. Może takie opowieści w sposób dla nas samych nieuświadomiony docierają prosto do najgłębszych zakamarków naszych serc?

Nie sądzę, żeby do tego typu spotkań dochodziło przypadkiem. Uważam, że zawsze istnieje jakiś powód, choć nigdy nie zrozumiemy w pełni, jak naprawdę powstaje tkanina zdarzeń po naszej stronie wieczności. Ja też przeżyłem takie właśnie spotkanie z pewnym człowiekiem. Poruszyło mnie ono do głębi – do tego stopnia, że muszę się z wami nim podzielić. Będę się zresztą dzielił tą historią aż do swojego ostatniego tchnienia. Zanim przeczytacie kilka następujących stron, powinniście przygotować sobie kubek kawy – albo szklankę piwa korzennego z gałką lodów – a potem usiąść wygodnie i pozwolić mi, bym opowiedział o rozmowie, którą przeprowadziłem z człowiekiem, który nazywał się Gabriel Clarke.

Wszystko zaczęło się podczas podróży powrotnej z zachodniego wybrzeża do Nashville. Pierwszym etapem był lot z Los Angeles do Denver, gdzie wylądowałem w pewien wtorek o godzinie 18.30, kiedy na tamtejszym lotnisku ruch był już nieco mniej intensywny. Byłem wyczerpany po dwóch dniach nieustających spotkań – bez odpoczynku (kiedy jestem poza domem, nigdy nie mogę się dobrze wyspać) – i po męczącej podróży.

Nie jestem pewien, co takiego mają w sobie samoloty, ale wiem jedno: latanie sprawia, że czuję się nieświeży, brudny i odczuwam silną potrzebę wyszorowania zębów. Wsiadłem w Denver z samolotu z Los Angeles i podszedłem do monitora, żeby sprawdzić numer wyjścia, przy którym powinienem czekać na następny lot.

Zgodnie z planem podróży miałem mniej więcej pięćdziesiąt minut do początku rejsu do Nashville. Jednakże monitor twierdził coś zgoła innego. Jak jeleń wpatrujący się nieruchomo w światła jadącego nań samochodu, stałem i gapiłem się w ekran, mając nadzieję, że jakimś cudem napis OPÓŹNIONY zmieni się w ODPRAWA.

Niestety nic takiego nie następowało. Po krótkiej wizycie w toalecie rozpocząłem wędrówkę do mojego wyjścia, uskakując przed wózkami inwalidzkimi wiozącymi seniorów i starając się ignorować denerwujące dźwięki klaksonów. Kiedy dotarłem na miejsce, stwierdziłem, że mój lot wcale nie jest opóźniony: on był *odwołany* w związku z jakimiś technicznymi problemami z samolotem.

Niewiele mogłem zrobić poza ustawieniem się w kolejce podenerwowanych pasażerów, pragnących porozmawiać z personelem obsługującym nasze wyjście. Nie wykazując żadnej empatii i całkiem na odwal się urzędniczka wyjaśniła mi, że jedyne co może mi poradzić, to zamiana biletu na inny lot, rozpoczynający się o 22.50.

Szybko dokonałem krótkiego obliczenia. Biorąc pod uwagę różnicę stref czasowych, oznaczałoby to pójście do łóżka na naszej małej farmie, odległej o czterdzieści pięć minut drogi od Nashville, około godziny trzeciej nad ranem. Co za radość! *Uwielbiam* wracać do domu, ale nie w środku nocy, kiedy muszę stąpać na palcach jak włamywacz, próbując zapobiec obudzeniu dzieciaków przez nasze czekoladowe labradory.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza i postanowiłem pogodzić się z losem. Miałem więc przed sobą trzyipółgodzinną randkę z terminalem C w Denver – nic na to nie można było poradzić. Zacząłem szukać jakiegoś spokojnego kąta, w którym mógłbym spędzić ten czas, czytając i słuchając muzyki. Była to rzadka w moim życiu okazja, żeby nacieszyć się wolnymi chwilami, więc pomyślałem sobie, że wykorzystam ją jak najlepiej.

Minąłem chyba z osiem kolejnych wyjść, aż znalazłem sektor poczekalni, w którym światła były przygaszone, zwieszony z sufitu wielki ekran telewizora wyłączony, a drzwi zamknięte. W całej sali nie dostrzegłem żywego ducha. Rozejrzałem się za najlepszym miejscem i upatrzyłem sobie rząd krzeseł w rogu z tyłu tego pomieszczenia, tuż obok okien wychodzących na płytę lotniska. Zadzwoiłem do żony i dzieci, żeby powiedzieć im dobranoc i przekazać wiadomość, że zobaczymy się dopiero rano.

Gdy się pożegnaliśmy, sięgnąłem natychmiast po iPoda, wsadziłem sobie do uszu słuchawki i odciąłem się od światła, słuchając ulubionej muzyki filmowej. Miałem też przy sobie powieść szpiegowską, którą zacząłem czytać jeszcze w samolocie z Los Angeles, więc wyciągnąłem ją z plecaka, rozsiadłem się, opierając nogi na krześle naprzeciwko, i wziąłem się do lektury. Jednakże po dziesięciu stronach moja samotność i błogostan nagle się skończyły.

Kątem oka zauważyłem postawnego człowieka, który zmierzał w moim kierunku. „Kto, na Boga, przywłókł się aż tutaj?! – pomyślałem. – Na pewno nie jest to ktoś, kogo bym znał ze swoich rodzinnych okolic”. Moje myśli pędziły w zawrotnym tempie. No i oczywiście: człowiek klapnął na krzesło o dwa miejsca ode mnie i otworzył płócienną torbę, która robiła wrażenie, że jest w niej dość sprzętu biwakowego i sportowego, żeby przejść Himalaje.

Nie mogłem w to uwierzyć: ze wszystkich miejsc dostępnych na lotnisku facet wybrał krzesło niemal tuż obok mnie! Dlaczego? Zignorowałem go, zanurzając głowę w książce, a on nadal gmerał w swej płóciennej torbie, sprawdzając różne części sprzętu i prowadząc jednostronną konwersację z samym sobą.

Podkręciłem trochę muzykę, westchnąłem głośno i wróciłem do lektury, próbując w ten sposób wysłać facetowi sygnał, że pragnę być pozostawiony samemu sobie. Kątem oka dostrzegłem jednak, że tamten nie przestaje na mnie popatrywać. Mógłbym przysiąc, że korci go, aby wdać się ze mną w rozmowę. Uniosłem więc w końcu wzrok znad książki i przesłałem Człowiekowi Gór nieco wymuszony uśmiech.

Miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i budowę australijskiego gracza w rugby. Długie, kudłate włosy w przybrudzonym kolorze blond wylewały się spod wełnianej czapki barwy wojskowej zieleni. Gdyby kazano mi zgadnąć jego wiek, powiedziałbym, że jest w połowie drogi między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Ubrany był w znożoną flanelową koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami oraz szorty koloru khaki, na nogach miał buty do pieszych wycieczek i grube, termoizolacyjne skarpety wywinięte na kostkach. Jego skóra była opalona i ogorzała od wiatru, błękitne oczy uderzały krystaliczną przejrzystością, a zniszczoną twarz mężczyzny żłobiły zmarszczki. Wyglądał, jakby

właśnie wyszedł z kadru jakiegoś filmu dokumentalnego emitowanego na kanale Discovery.

Ten starszy ode mnie człowiek przyjrzał mi się i coś powiedział. Nie zdołałem go zrozumieć z powodu muzyki, którą sobie puściłem, więc wyjąłem z uszu słuchawki i poprosiłem:

– Przepraszam, nie słyszałem, co pan powiedział. Proszę powtórzyć.

– Pan wraca do domu czy wyjeżdża?

Nie było to zbyt oryginalne pytanie.

– Wracam do domu – odpowiedziałem z nadzieją, że to zdanie złożone z trzech słów posłuży za wskazówkę, że nie chcę, by mi przeszkadzano.

Ale nie udało mi się go zniechęcić.

– Ja też. Wyjechałem na ponad trzy miesiące. I już chciałbym się położyć we własnym łóżku.

Najpierw przygarbił się, a potem odgiął do tyłu w swoim krześle, wbijając wzrok w sufit. Miałem nadzieję, że nasza rozmowa właśnie dobiegła końca, co oznaczałoby, że mogę spokojnie powrócić do książki i muzyki.

Ale on znów rozejrzał się wokół siebie.

– Ile ma pan czasu do odlotu?

Teraz już wiedziałem, że muszę się po prostu poddać. Zamknąłem więc książkę i położyłem ją sobie na kolanach.

– Mam czas do dziesiątej trzydzieści – powiedziałem i zrelacjonowałem mu historię o odwołanym locie do Nashville. On zaś odrzekł, że zostało mu jeszcze sporo czasu do późnonocnego lotu na wschodnie wybrzeże.

Zaraz potem zaczęliśmy wymieniać typowe kurtuazyjne zdania.

– Skąd pan jest?

– Dokąd pan leci?

– Pogoda jest całkiem nieprzewidywalna, prawda?

Rozdział pierwszy

Wielka wycieczka

1956

Pewnej chłodnej, wrześnieowej niedzieli John Clarke obudził się o świcie i pomyślał, że przyjemnie byłoby wyjść z domu, żeby nacieszyć się pięknem otaczającej go przyrody. Clarke wychowywał samotnie syna, a tego akurat dnia nie znalazł dla Gabriela żadnej opiekunki. Postanowił więc, że zabierze małego na przechadzkę do przełomu Firewater na Rzece.

– Tato! Nie tak szybko! – krzyknął pięcioletni chłopiec szorstkim, choć cienkim głosem.

– Jeszcze tylko parę kroków, kolego, a potem sobie odpoczniemy – zachęcał syna Clarke. – Zobaczysz: jak już do-
trzymamy na miejsce, widok na pewno ci się spodoba. Kiedy byłem w twoim wieku, Tatuń często mnie tam zabierał, a ja mimo upływu lat ciągle to pamiętam.

John ciężko oddychał – choć wciąż jeszcze znajdowali się na dość płaskim odcinku drogi – i wytrwale parł naprzód. Celem ich wędrówki był rzadko odwiedzany punkt widokowy położony wysoko nad rzeką Whitefire, z którego rozciągał się widok na kanion Splash. Plecak z wycieczkową zawartością – suszoną wołowiną, wodą, zestawem pierwszej pomocy i pelerynami – ważył chyba z dziesięć kilogramów.

– Tato! Podnieś mnie!

John zatrzymał się, czekając aż Gabriel go dogoni, po czym podniósł chłopca jednym silnym ruchem i wziął na barana. Niósł go w ten sposób już do końca ich wspólnej wyprawy. Szli dalej w kierunku szczytu – ojciec i syn zjednoczeni miłością do dzikiej natury.

John miał poczucie, że jest u siebie, bo pośród miejscowej przyrody poruszał się pewniej niż we własnym domu.

– Gdybym mógł, zamieszkałbym pod gołym niebem – zwierzał się nieraz przyjaciółom.

John Clarke przy swoim metrze osiemdziesiąt pięć wzrostu i wadze osiemdziesięciu pięciu kilogramów sprawiał wrażenie dobrze zbudowanego, trzydziestodwuletniego twardziela. Lata wspinaczki i pływania po Rzece sprawiły, że stał się silny jak tur. Wokół jego niebieskoszarych oczu zaczynały się pojawiać kurze łapki. Już z daleka dostrzegało się jego jasną, przyciętą w czub czuprynę w kolorze piasku. W połączeniu z pewnym krokiem, jakim chodził, dawało to obraz człowieka małomównego, ale mądrzejszego, niż wskazywałby jego wiek.

Rodzina Clarke'ów położyła fundamenty pod Corley Falls w stanie Colorado: dziadek i ojciec Johna zbudowali od podstaw niemal całe miasto. A wszystko dzięki własnej gospodzie i ośrodkowi sportów wodnych na górskiej rzece. Kontynuując rodzinną tradycję, John przejął później ten biznes. Do jego obowiązków należało między innymi szkolenie przewodników po rzece. Przez prawie trzydzieści sześć lat Park Przygód „Wielka Woda” na rzece Whitefire dostarczał mocnych wrażeń rafterom i miłośnikom spływów. Wielu z nich zapewniało, że nie zapomni tych przygód do końca swoich dni. John często wspominał słowa ojca, który zwykł mawiać: – My, Clarke'owie, zostaliśmy stworzeni dla Rzeki.

Letni sezon raftingu dobiegał końca. O tej porze roku Rzeką spływało już tylko niewielu doświadczonych kaja-

karzy, więc John miał parę dni wolnego. Przez ten czas nie musiał oprowadzać pieszych wycieczek ani prowadzić zajęć w założonej przez ojca szkole raftingu. W ostatnim tygodniu spadło wyjątkowo dużo deszczu i poziom wody w Rzece był wyższy niż zazwyczaj.

Piękno wąwozu i otaczającego go lasu zapierało dech w piersiach, szczególnie teraz, wcześniej rano. Lekka mgła podnosiła się powoli, dzięki czemu mieli wrażenie, że kroczą wśród chmur. Ćwierkanie ptaków tworzyło wielogłosową symfonię, a świerki, jodły i sosny pachniały oszałamiająco. Wszędzie wokół nich biegały wiewiórki – można było odnieść wrażenie, że bawią się w chowanego. W rzeczywistości wytrwale przeczesywały poszycie lasu w poszukiwaniu orzechów: była to dla nich ostatnia szansa, żeby zrobić zapasy przed zimą. W tej okolicy w każdej chwili można było się natknąć na najrozmaitsze zwierzęta – niedźwiedzie, wilki, jelenie. John i jego syn znaleźli się w naprawdę dzikim i magicznym miejscu.

– Tato, ile jeszcze?

– Jeszcze tylko kilka długości boiska piłkarskiego – odpowiedział ojciec. Kiedy mówił o odległościach, starał się operować pojęciami, które jego syn mógł sobie wyobrazić.

Gabriel też był mocno zbudowany i miał okrągłą buzię, dzięki czemu wyglądał jak miniaturowa wersja ojca. Kiedy szedł, jego proste, jasne włosy kołysały się w rytm jego kroków, chłopiec zresztą najczęściej biegł, niezależnie od tego, dokąd się wybierał. Miał niesamowicie długie rzęsy, które w połączeniu z błękitnymi oczami robiły piorunujące wrażenie na kobietach – gdziekolwiek tylko John go zabierał. Oczywiście było to dla starszego z Clarke'ów powodem do dumy.

Gabriel był sprytnym chłopcem, zawsze skorym do figli. Zadawał wiele pytań, które rodziły się w jego głowie całkiem

nagle i często po prostu zwałały ojca z nóg: śmiały się z nich do rozpuku albo zdziwiony drapały w głowę.

Jednakże podczas tej porannej wędrówki pytania Gabriela były innego rodzaju, bardziej poruszające:

– Kiedy znowu spotkam się z mamą? Sammy Overton powiedział, że mama pewnie jest wściekła.

Albo:

– Jackson Wilbur mówił, że mamy są ważne, bo bez mamy nie można się urodzić. Czy dzisiaj moglibyśmy pójść do mamy?

John czuł się zbity z tropu chaotycznością tych pytań, które rozdzierały mu serce. Wiedział przecież, że Gabriel nie zdoła zobaczyć matki wcześniej niż pod koniec listopada, podczas Święta Dziękczynienia.

Nie zwalniał kroku i nadal wspinał się po wyboistym szlaku.

– No cóż, kolego, zobaczysz się z mamą już niedługo. Ona się wcale na ciebie nie gniewa. Nie powinieneś absolutnie tak myśleć. Po prostu mieszka dość daleko i trudno jej tu przyjeżdżać. O, spójrz na te wiewiórki!

Zdawał sobie sprawę, że próbuje zmienić temat, i nie czuł się z tym najlepiej. Czasami nachodziły go fale smutku. Ileż by dał za to, żeby wciąż mogli być razem! Uczucie przygnębienia stawało się niekiedy nieznośne i wówczas John próbował sobie z nim radzić, aplikując zwiększoną dawkę pracy.

Ostrożnie postawił Gabriela na ziemi.

– Ćśś... Nie spłosz ich.

Ledwo zdążył zdjąć plecak, Gabriel zaczął przetrząsać jego zawartość w poszukiwaniu orzeszków. Wyciągnął ich garstkę z torebki i zaczął powoli zbliżać się do pary wiewiórek. Odważnie wysunął ku nim dłoń, na której spoczywały obrane z łupin fistaszki. Wiewiórki podchodziły ostrożnie,

nerwowo rozglądając się na boki. Wyglądało na to, że mają ochotę uciec, ale z jakąś zdobyczą.

– Trzymaj rękę nieruchomo – poradził synowi John.

Obie wiewiórki wolno sięgnęły po orzeszki, złapały po parę sztuk i czmychnęły na drzewo.

– Widziałeś, tato?

– Oczywiście. Zdobyłeś nowych kolegów i powinieneś nadać im imiona.

John zapiął plecak i włożył go sobie na plecy.

– Jesteś gotów, żeby wejść na szczyt?

Gabriel podniósł z ziemi kij, który ledwo mógł udźwignąć, ujął go jak miecz i wydał z siebie najbardziej ognisty okrzyk wojenny, na jaki było go stać.

– Chodźmy – zawołał po chwili.

John wziął go na barana, po czym na nowo podjęli wędrówkę w stronę punktu widokowego. Przez jakichś pięćdziesiąt metrów jedynym odgłosem, który słyszeli, był stukot wysokich butów Johna. Mgła znów się nieco podniosła. Gabriel pochylił się nad twarzą ojca i powiedział:

– Taszek i Fis.

– Co takiego? – spytał ze zdziwieniem John.

– No, ich imiona. Taszek i Fis. Bo one lubią fistaszki. Rozumiesz? Fis... taszek... Taszek i Fis.

John roześmiał się serdecznie.

– To musi trafić do książki – powiedział, myśląc o dzienniku, w którym gromadził zapiski na temat ważnych wydarzeń, cytaty i relacje z wędrówek z Gabrielem. Szli dalej, a ręce chłopca spoczywały na głowie ojca w sposób świadczący o pełnym zadowoleniu.

Spis treści

Słowo od autora	7
Zapis w <i>Dzienniku</i>	9
Prolog	13
Rozdział pierwszy	
Wielka wycieczka	21
Rozdział drugi	
Życie w Kansas	33
Rozdział trzeci	
Staw	41
Rozdział czwarty	
Parówki w cieście i kulki	52
Rozdział piąty	
Pan Earl i wyprawa ze świniakami	64
Rozdział szósty	
Nowa nauczycielka	76
Rozdział siódmy	
Odwiedziny na farmie	86
Rozdział ósmy	
Prezent urodzinowy	97
Rozdział dziewiąty	
Rozmowa telefoniczna	106
Rozdział dziesiąty	
Wyprawa nad Rzekę	116
Rozdział jedenasty	
Dziewczyna	125
Rozdział dwunasty	
Rzeka mówi	135
Rozdział trzynasty	
Samuel i Park Przygód „Wielka Woda”	145
Rozdział czternasty	
Klasa V	155

Rozdział piętnasty	
Ostatnia noc	164
Rozdział szesnasty	
Pożegnanie i <i>Dziennik</i>	172
Rozdział siedemnasty	
Nigdy więcej Kansas	183
Rozdział osiemnasty	
Wieczory z Ezrą	193
Rozdział dziewiętnasty	
Nieoczekiwana znajomość	202
Rozdział dwudziesty	
Niezapomniana kolacja	212
Rozdział dwudziesty pierwszy	
Nocna wyprawa	223
Rozdział dwudziesty drugi	
Sala narad wojennych	232
Rozdział dwudziesty trzeci	
Droga do domu	243
Epilog	256
Podziękowania	259
Andy Andrews rozmawia z Michael'em Neale'em o <i>Rzece</i>	263